

Kabulozaurus

10.03.2008.

Marek Potemski "Kabul"<http://potemski.com/Marek/marek.htm>OPOWIADANIA Moj pierwszy dzień w Indiach Zaczął się komfortowo na pokładzie super nowoczesnego Airbusa linii Emirates. Kiedy wylądowaliśmy w Mumbaju, mój entuzjazm do dobrze zapowiadającej się podróży spowodował, że zamiast, jak pierwotnie planowałem zostać kilka dni w mieście, postanowiłem od razu lecieć na Goa. Mumbaj, przez okna samolotu nie wyglądał ani trochę zachęcająco. Z góry widziałem połączenie przylegających do siebie slumsów i lepianek, pokrytych falista blacha czy eternitem, takich jak te w New Dheli, w pobliżu których kiedyś obrzucono mnie kamieniami. Nie chciałem więc zagłębiać się w miasto. Czułem, że ono nie będzie mi przychylnie, a ja, będę musiał dużo wydać na taksówki i hotele. Kupiłem więc bilet na Goa, żeby znaleźć się tam jak najszybciej. Poprzedniej nocy w ogóle nie spałem i ze zmęczenia nie myślałem już całkiem rozsądnie i zamiast zapłacić za bilet kartą, pozbyłem się większej części mojej gotówki. Chciałem jednak mieć solidną ilość ruppi po wylądowaniu i zacząłem szukać automatu ATM. Kilkakrotne próby podjęcia gotówki spełzyły na niczym. Żadna z maszyn ATM nie chciała mi wypłacić pieniędzy. Ale w Polsce też nie z każdego automatu udawało mi się wyjąć kasę. Trochę dziwne, że nie udało się to w tak wielkiej metropolii jak Mumbai, ale wtedy jeszcze się tym nie przejmowałem.. Kiedy wylądowaliśmy na Goa, sprawa okazała się jeszcze trudniejsza. Co prawda szybko udało mi się odebrać walizkę, ale zmęczenie, upał, chaotyczna kolejka do medical i imigration officers, dzięki tłum hustlerów taksówkowych coraz bardziej redukowało mój optymizm. A kiedy pytałem gdzie jest automat ATM na lotnisku, podawano mi sprzeczne informacje, a w końcu nie było go wcale. Każdy z kierowców niemal nachalnie chciał mnie wieźć przynajmniej 20 km. Chaos upał dokoła były nie do wytrzymania. W końcu udało mi się wytłumaczyć jednemu z kierowców, że jeżeli nie uda mi się podjąć gotówki, nie będę miał już za co jechać dalej. Kierowca zawiozł o kilku ATM-ów na głównej ulicy, ale żaden nie wypłacił mi kasy. Mocno już zaniepokojony, kazałem się wieźć do biura Western Union. Jednocześnie smsowałem do kolegów aby któryś szybko przysłał mi jakieś pieniądze. Niestety, koledzy do których się zgłosiłem o pomoc, widzieli tylko zabawną stronę mojej sytuacji. Odpowiadali żarcikami typu: po co się tak spieszysz, masz całe dwa miesiące, na pewno coś wymyślisz. Zupełnie nie doceniając powagi mojego położenia. Na szczęście brat stanął na wysokości zadania i obiecał wysłać mi pieniądze, ale dopiero za kilka godzin, gdyż właśnie był w podróży służbowej. Do biura Western Union, gdzie chciałem spytać co jest potrzebne aby odebrać wysłane pieniądze wszedłem już rozjuszony. Zmagałem się z otwarciami szczelnych drzwi ciągnąc za sobą walizkę. Z plecaczkiem na plecach i netbookiem w ręku spowodowałem niezłe zamieszanie. Tymczasem kierowca naciskał aby go zwolnić, po czym jeszcze uparł się, żeby dać mi swój numer telefonu. Oczywiście nie miał pisaka, ani nawet kawałka papieru. Sięgając po długopis odstawiłem gdzieś netbook tracąc go na chwilę z oczu. Kiedy wreszcie kierowca odjechał, już nie widziałem mojego netbooka. A w kieszonce jego futerału był mój paszport i karta kredytowa! Jedyne, co mi przyszło do głowy, to że zostawiłem to na fotelu taksówki. Rany Boskie! Już pierwszego dnia podróży zostałem bez pieniędzy, straciłem paszport i kartę kredytową, a przed oczmi stała mi wizja wyrabiania nowego dokumentu w odległej o ponad tysiąc kilometrów ambasadzie. No to nieźle gips pomyślałem. Nie tak wyobrażałem sobie moje wakacje na Goa. Ciekawe, czy ktoś mógłby poczuć się dobrze w tej sytuacji? Westchnąłem tylko w kierunku kobiety z Western Union: - O God! Now I have lost everything! My passport, my laptop and my credit card! A chwilę przedtem dowiedziałem się, że bo bez paszportu nie będę mógł odebrać pieniędzy... Moja sytuacja przedstawiała się żałośnie, co oprócz zdziwienia, wyczytałem w oczach kobiety z Western Union. Zawstydzony chwyciłem walizkę i wyszedłem z biura. Ogupiały i oczekający potem ruszyłem w kierunku Municipal Park, aby na ławeczce, wśród palm i drzew zebrać myśli, ochłoniąć i przebrać się w coś przewiewniejszego. Przez chwilę starałem się otworzyć walizkę, ale kluczyki nie pasowały do zamków. Okazało się, że to nie była moja walizka!!!! Początkowo chciałem iść na policję, aby oddać walizkę i zgłosić utratę paszportu, ale doszedłem do wniosku, że w tym biurokratycznie skomplikowanym kraju, mogą mnie jeszcze zamknąć, choćby na wszelki wypadek. Zrezygnowany zacząłem iść bezwiednie w stronę lotniska, szukając po drodze hotelu. Szedłem wśród tłumu przechodniów, przeraźliwie głośno trąbiących samochodów, riksów, krów i psów włączających się po ulicy i skuterów, przciskających się między nimi jak stada much. Wtem, podjechało do mnie dwóch hindusów na skuterku. Nie miałem pojęcia kim są, ale oni patrzyli na mnie tak, jakby mnie znali. Zadowoleni uśmiechali się szeroko. Co jest? - pomyślałem w złości, bo wyglądali jakby mieli do mnie jakiś interes. Po kilku słowach powitania, jeden z nich wręczył mi futerałik w którym był netbook, paszport i karta kredytowa. To wydało mi się jeszcze bardziej nierealne, niż sam fakt, że mogłem to wszystko tak łatwo zgubić! A jednak to nie był sen. Po moim wyjściu z biura Western Union, urzędnicy zauważyli mój netbook leżący za niewielkim przepierzeniem oddzielającym od siebie sąsiadujące biurka. Ścianka skutecznie zasłaniała oparty o nią laptop i nikt go nie widział kiedy go szukaliśmy. Dopiero, kiedy po moim wyjściu, wszyscy wrócili do swoich biur, ktoś spostrzegł leżący za przepierzeniem futerałik. Wtedy dwóch koleś wsiadło na

skuterek i ruszyło na miasto chcąc mnie odnaleźć i oddać mi zgubę. A więc sprawa paszportu rozwiązała się sama. Teraz pozostawało mi tylko zwrócić cudzą walizkę i odnaleźć moją. Miejscowym zwyczajem zatrzymałem pierwszy lepszy skuterek i pojechałem z walizką na lotnisko. Początkowo policjant nie chciał mnie wpuścić do budynku dworca. Domagał się boarding card, którą, doleciawszy wyrzuciłem. W końcu udało mi się przywołać pracowniczkę linii lotniczych. Ucieszyła się widząc srebrną walizkę, której już szukali. Zabrała ją i poszła po moją, ale długo nie wracała. W końcu pokazała się ciągnąc za sobą niewielką czarną walizeczkę, zupełnie niepodobną do większej i srebrnej walizki, którą ściągnąłem z konwertora. - Jak mogłeś pomylić te walizki? Spytała z niedowierzaniem. Mi też to wydało się dosyć dziwne, ale przypomniałem sobie, że tą czarną kupiłem zaledwie kilka godzin przed odlotem, gdyż moja srebrna z którą ostatnio podróżowałem, była nieco za duża na wyjazd do tropików. A tą nową, czarną widziałem tylko krótko przed odlotem. Potem, w czasie 30 godzinnej podróży bez snu zapomniałem, że mam właśnie taką. Był jeszcze niewielki problem z odbiorem walizki, bo nie miałem już biletu ani karty pokładowej, ale dziewczynę zadowolilo, że do czarnej pasowały moje kluczyki. I znów, skuterkiem wróciłem do miasta sądząc, że znajdę tam jakiś niedrogi hotel, ale za nawet najbardziej zapchlona dziurę chcieli więcej niż miałem przy sobie. Powoli robiło się ciemno. Pomyślałem, że może uda mi się dojść na jakąś plażę i tam spróbuję się przespać. Nie miałem jednak pojęcia w którym kierunku się udać i włączyłem się bezładnie po ulicach starając się ochłoniąć i zastanawiając się jak mogłym zabezpieczyć swoje rzeczy gdybym zasnął. Nagle usłyszałem pytający głos przechodzącej obok kobiety: - What is your problem? What are you looking for? Obok mnie szła czterdziesto letnia kobieta o Chińsko-Mongolskich rysach. Mówiła łamaną angielszczyzną z dziwnym akcentem. Stałem zaskoczony. Obok niej szedł jeszcze młody chłopak, który przyglądał mi się ciekawie. - Czego szukasz? Czy coś ci się stało? Spytała jeszcze raz idąc dalej. Nagle, w pewien sposób sytuacja wydała mi się zabawna. - Sam nie wiem. Odpowiedziałem. Popatrzyła na mnie zdziwiona, więc wyjaśniłem. - Moja karta kredytowa nie działa i nie mam już na hotel. Mój brat wysłał mi pieniądze, ale biuro Western Union jest już zamknięte i dopiero jutro będę mógł je odebrać. A teraz idę i myślę co dalej robić. Popatrzyła na mnie z przejęciem i powiedziała: - Słuchaj, ja mam pokój. Mieszkam tu niedaleko z bratem i jak chcesz możesz tam przenocować. Myślałem, że ma pokój do wynajęcia, więc spytałem - ile? Nie, nie musisz mi płacić. Ja nie jestem hinduską. Jestem z przesiedleńcem z Tybetu. My jesteśmy inni. Widzę, że masz problem i chcę ci pomóc, mówiła idąc dalej. Przez chwilę sytuacja wydała mi się podejrzana. Nigdy bym się nie spodziewał, że w tym niezwykle ubogim kraju przypadkowo spotkana na ulicy kobieta zaproponuje nocleg nieznanemu mężczyźnie, nawet nie chcąc za to pieniędzy. - Wracam z pracy. Mam sklep, tu niedaleko, mój dom też niedaleko. Jak chcesz to możesz tam spać, ale nie musisz mi płacić. Byłem już tak wykończony, że było mi wszystko jedno. Mozolnie ruszyłem za nią, a ona widząc moje zmęczenie chciała nawet pomóc mi ciągnąć za sobą walizeczkę. Nie mając innego pomysłu, ruszyłem za nią. Kobieta mówiła nieskładnie o wierzeniach tybetanczyków, o Dalaj Lamnie i była bardzo zdziwiona, że wiem o czym ona mówi. Szliśmy dalej ulicą jeszcze kilka minut, po czym pożegnawszy młodego chłopaka, skręciła w nieoświetloną ścieżkę między krzewami. Cały czas mówiła coś do mnie, ale zmęczenie i niedokładność języka którym się posługiwała nie pozwalały mi wiele zrozumieć. Poza tym zastanawiałem się dokąd ona mnie prowadzi. Minęliśmy kilka niewielkich parterowych domów pomiędzy udekorowanymi lampionami drzewami. Mieszkańcy domów przyglądali się mi ciekawie. Kobieta wyjaśniła, że właśnie rozpoczęły się hinduskie święta, a po jutrze, wszyscy obchodzić będą Dzień Zmarłych. W końcu, ze skąpo oświetlonej drogi skręciliśmy w wązki i ciemny zaułek. - Ja tu mieszkam powiedziała kobieta otwierając kłódkę blokującą skobel do drzwi. Weszliśmy do ciemnej izby, w której oprócz telewizora nie było mebli. Tylko metalowa skrzynia na której leżały koce i cienki materacyk. Pod drugą ścianą stało stare, zniszczone, metalowe łóżko. Połoga była z betonu, a w izbie nie było nawet okna. Ściany pomalowane na nieokreślony kolor w brudnej tonacji, a w rogach pajęczyny. Za pokojem było pomieszczenie kuchenne z niewielką dwupalnikową maszynką a za nim "łazienka" z dziurą w podłodze służącą jako ustęp. Stała tam też wielka plastikowa beczka na wodę, wiadro i dzbanuszek do podmywania. W kategoriach europejskich był to slums, ale i tak byłem wdzięczny kobiecie, że wybawiła mnie z kłopotu. Kobieta, gestem namawiającym abym się rozgościł wskazała mi łóżko i zaczęła krzątać się po kuchni. Nagle drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł może 30 letni człowiek, spojrzął na mnie zdziwiony i odezwał się do kobiety tonem, który zabrzmiał jak pretensja, czy wymówka. Kobieta również odpowiedziała nieco podniesionym głosem, po czym chłopak włączył telewizor i zajął się oglądaniem meczu cricketa. - To mój brat - powiedziała kobieta. - Hello brother, powiedziałem aprobując podając mu rękę. Odpowiedział uściskiem dłoni, po czym powrócił do oglądania transmisji z meczu. Kobieta spytała, czy jestem głodny, dodając, że zaraz przygotowuje posiłek. Zaproponowałem, żeby pójść do restauracji. Chciałem się zrewanżować, a poza tym nie miałem ochoty próbować jej kuchni, ani siedzieć w pokoju z jej bratem który nie mówił po angielsku i oglądać cricketa. Po chwili namów przystała na moją propozycję. Wyszliśmy do lokalnej kuchni "take away", która składała się z dużej lady i paleniska, gdzie na rozgrzanym woku kucharz przyrządził "fried rice doha style". Upał już zelżał i zrobił się przyjemny wieczór.

Zjedliśmy więc na zewnątrz, szczególnie, że chciałem opóźnić moment powrotu do izby. W końcu jednak przyszedł czas, że trzeba było wrócić gdyż Pema musiała nakarmić brata. Kiedy wróciliśmy, brat był niezadowolony, bo strasznie długo czekał na jedzenie. Czułem się dość niezręcznie w całej tej sytuacji. Ale przecież musiałem gdzieś spać, a Pema zarygłowała już drzwi. Później próbowałem rozmawiać jeszcze trochę z Pemą, aż w końcu zacząłem przysypiać. I tak właściwie skończył się mój pierwszy dzień w Indiach, obfitujący w dość niecodzienne zdarzenia. Jeszcze kilka godzin później załamało się podemną stare łóżko, na którym zwykle sypiał brat Pemy i kontynuowaliśmy noc śpiąc obok siebie na podłodze. Następnego dnia zaczął się wcześnie, ale to będzie już tematem kolejnego opowiadania. Cdn.

I. Opis jedynej dość zabawnej przygody, która zdarzyła mi się latem zeszłego roku.

Wziąłem wolne na ostatnie dwa tygodnie pobytu Kasi w Londynie. Dla mnie był to smutny czas pożegnania córki. Dorosła tak szybko, choć w tym czasie minęła prawie połowa mojego życia. Teraz jechała, z chłopakiem którego sobie wybrała, przez Amsterdam i Polskę na inny kontynent, aby rozpocząć własne niezależne życie. Szczególny moment dla ojca i chyba naturalne, że trudny do przełknięcia. Mimo, że od przyjazdu Jeffa nie spędzaliśmy z Kasią wiele czasu razem, dom po ich wyjeździe wydawał się nieznośnie pusty. Przez ostatnie pół roku widywałem ją codziennie, a od kilku dni siedziałem sam w pustej chałupie.

Wieczorem wpadł Misiek z browarem. Zapaliliśmy i powiedziałem mu o ojcowskich rozterkach i że jak zakochany szubak, chciałbym pojechać za nią.

- Ja też chętnie pojechałbym na weekend do Amsterdamu. - uśmiechnął się Misiek, a mi strzeliło do głowy, że mógłbym zrobić Kasi niespodziankę i spotkać ją "przypadkiem" w Amsterdamie.

- No to jedźmy - odpowiedziałem.

Szybko ustaliliśmy mało dokładny plan podróży. Jedziemy na beztronski weekend w Amsterdamie, napaliliśmy się, napić i poszaleć.

Następnego dnia, niewiele już myśląc wyciągnąłem z banku co się dało. Prawie nic, ale powinno starczyć na oszczędny weekend w Amsterdamie.

Najwcześniejsze miejsce mieli dopiero na wtorek. Ale byłem już tak podniecony perspektywą wyjazdu, że dla mnie nie było odwrotu. Misiek przez noc ochłonął z zapału i nie mógł czekać do wtorku. Czyli jechałem sam. Szkoda, że dwóch byłoby weselej, ale mam tam jeszcze kilku znajomych i nie powinno być źle. Kupiłem też bilet na powrót, dla pewności, żebym nie zatracił się w zabawie i wrócił. Miały to być moje jedyne w tym roku wakacje. Należało mi się coś przeżyć coś miłego, choćby przez trzy dni. Niestety "prawie nic" które udało mi się wyciągnąć z banku, rozeszło się przez weekend podczas przygotowań do wyjazdu. Musiałem pożyczyć od Miśka.

W środę przed południem, znalazłem się w Amsterdamie, kompletnie wykończony całonocną jazdą niby komfortowym autobusem. Dworzec położony był gdzieś na peryferiach miasta. Nie miałem pojęcia gdzie jestem.

Dostałem sms od Kasi. Okazało się że są w Londynie na Stanstead już i lecą do Warszawy. Mój przyjazd do Amsterdamu miał być dla Kasi niespodzianką, więc nie chciałem zdradzać się wcześniej z moimi planami. Teraz okazało się, że mój pierwszy cel wyjazdu był chybiony.

Bad luck, pomyślałem, ale w końcu znów byłem w Amsterdamie. Zaraz dojadę metrem do centrum, pójdę do coffie shopu, zadzwonię do znajomych i poczuje się lepiej.

Drugą niespodzianką było, że zapomniałem notesu z namiarami amsterdamskich znajomych. Nie mając kredytu w telefonie nie mogłem ich odtworzyć.

Co było robić? Ruszyłem przez miasto w poszukiwaniu sleep-inu. Szło mi się ciężko i powoli. Nie odzyskałem jeszcze sił po rocznej kuracji, która najwyraźniej zamąciła mi też w głowie. Trzydzieści lat temu, spacer wąskimi uliczkami, z pochylającymi się nad kanałami kolorowymi domami rozpierał mnie radością. Ale teraz byłem zmęczonym prawie emerytem i tylko jedna myśl towarzyszyła mojej wędrówce: za stary jesteś na takie numery Bruner!

I rzeczywiście. Nie chcieli mnie przyjąć do sleep-inu. Recepcjonistka wyjaśniła, że moja obecność stwarzałaby potencjalnie konfliktową sytuację w zetknięciu z młodymi. Nawet w Buldogu dziwnie patrzyli na mnie i moją srebrną walizczkę na kółkach. Moja karta kredytowa nie chciała już płacić, a znalezienie książki telefonicznej graniczyło z cudem (to już nie ta epoka). Okazało się, że niewiele pamiętam z poprzednich wizyt i nic nie rozumiem po flamandzku, a Holendrzy chyba tylko udają że mówią po angielsku. W końcu znalazłem niewielki hotelik, a że padał deszcz, zaległem przed telewizorem.

Wieczorem nie miałem już najmniejszej ochoty wychodzić. Tym bardziej, że moja sytuacja finansowa nagle okazała się trudna. Wysłałem sms do Miśka z prośbą o doładowani komórki, ale nie odpowiadał. Nic dziwnego. Pożyczył mi trochę kasy przed wyjazdem i uznał że wystarczy.

Następnego dnia obudziłem się koło południa. Z ledwością zwlokłem się z łóżka i z obolałym ciałem ruszyłem w miasto. Po opłaceniu hotelu zostało mi mało pieniędzy, a do wyjazdu jeszcze całe dwa dni. W zupełnie nie rozrywkowym nastroju wlokłem się przez miasto odpoczywając na nielicznych ławeczkach. Przed wieczorem wróciłem do hotelu.

Następnego ranka byłem zadowolony, że już wieczorem wyjeżdżam. Musiałem opuścić pokój i znów ruszyłem w miasto. W coffie shope zrobiłem zakupy dla Miśka i dla wytracenia czasu kręciłem się trochę po mieście, mogąc jedynie patrzeć na puby sklepy i restauracje. Znów trochę padało i w końcu ruszyłem na dworzec .Tyle miałem z moich wakacji. W poniedziałek miałem już wrócić do pracy.

Okazało się źle odczytałem godzinę wyjazdu. i spóźniłem się na autobus. Widziałem nawet jak odjeżdżał, ale było już za późno. Zakołowało mi się w głowie. Jeszcze przed chwilą byłem prawie dumny, że udało mi się przeżyć ten niezbyt sensowny wyjazd, a tu okazało się że największa życiowa próba jeszcze przede mną. Wydałem już wszystkie pieniądze, karta nie chce zapłacić za nowy bilet, nie mogę do nikogo zawiadomić a do mnie też nikt nie może zadzwonić.

Raz byłem już w podobnej sytuacji ale bardzo dawno temu. Wracając z Kabulu do Warszawy wylądowaniem w Taszkencie. Tam miałem przesiąść się na samolot do Moskwy . Ale na lotnisku nie chcieli uznać mojego vouchera na bilet Taszkient - Moskwa, wydanego przez biuro Aeroflotu w Kabulu. Wtedy też nie miałem pojęcia co robić dalej. Patrzyłem na kolejne odlatujące beze mnie samoloty, a ruska baba z działu odlotów przez cały dzień tylko powtarzała: Niet! i niet! Ale wtedy byłem młody i łatwo zakolegowałem się z przypadkowo spotkanymi studentami z Afganistanu (jeden chyba miał na imię Osama). Zaproсили mnie na obiad do akademika. Wyjaśniłem im moją sytuację i pożyczili mi na samolot do Moskwy. W dzisiejszych czasach coś takiego nie mogłoby już się wydarzyć.

Stałem spanikowany i ogłupiały na dworcu autobusowym w Amsterdamie. Nie rozumiałem jak to się mogło stać. Zabezpieczyłem sobie powrót i nawet nie myślałem że mógłbym zrobić tak głupi błąd . A jednak…

Był piątek wieczór, w mieście wszyscy się bawią, a ja bez kasy i kredytu w telefonie. Nikt nie może do mnie zadzwonić, ani wysłać smsa, nawet gdyby chciał. A kogo w tym mieście zainteresuje fakt, że dorosły facet, bez pieniędzy, znajomych i możliwości zrobienia konstruktywnego ruchu spóźnił się na powrotny autobus do domu.

Znalazłem jednak monetę pół euro i z automatu zadzwoniłem do Czesi w Londynie. Nie odebrała. Udało mi się nagrać tylko krótką wiadomość i prośbę żeby naładowała mi komórkę. Nie wiedziałem czy odsłucha i czy będzie jej się chciało zareagować. Nie raz zostawiałem wiadomości, na które nikt nie odpowiadał. Ale w tej sytuacji mogłem – tylko czekać.

Pokręciłem się wokół dworca przez godzinę i nic. W głowie kłębiły się różne myśli. Głupio było tak stać i nic nie robić. Ruszyłem w kierunku autostrady, z nadzieją, że może złapie tira jadącego do Anglii. Ciężarówki płynące przez kanał mogą wieźć pasażera za frico, a na pokładzie obaj jadący mają darmowe miejsca w kabinach i restauracji pokładowej, czyli pomysł nie był całkiem głupi. Okazało się jednak, że wciąż mam za mało sił żeby dojść choćby do obwodnicy. Wsiadłem w ostatnie metro i na gapę wróciłem do centrum.

Tam, pośród rozbawionego tłumu znalazłem cichą ławeczkę nad kanałem i oparty o walizkę czekałem do świtu, z zazdrością patrząc co dzieje się dokoła. Co kilka minut przejeżdżały na rowerach młode dziewczyny jadące pewnie na piątkową imprezę. Mijały mnie obściskujące się pary. Na zabytkowej drewnianej barce ze złożonymi burtami i rzeźbionym bukszprytem płynęła grupa młodych ludzi ubranych barokowe w szaty. Starali się zacumować tuż obok „mojej” ławeczki. Nie szło im to zupełnie, bo sądząc po ilości butelek leżących w środku, wypili już bardzo dużo szampana Chciałem podejść do nich i pogadać, gdy nadjechało czterech policjantów na motocyklach i mieli jakieś pretensje do rozbawionych żeglarzy. Paliłem akurat faję i na wszelki wypadek postanowiłem zmienić miejsce.

Znów znalazłem się w pobliżu Central Station. Zdesperowany wpadłem na pomysł, żeby pierwszym pociągiem pojechać na gapę do Hagi .Tam dać się zaaresztować i stać się problemem miejscowych władz. Mógłbym też zgłosić się do ambasady i starać o pożyczkę na powrót do kraju. Ale nad ranem byłem już

tak zmęczony, że odechciało mi pakować w kolejne kłopoty.

O piątej rano niespodziewanie zapiknął telefon. Agacie z Londynu jakimś cudem udało się przez Internet wysłać smsa na moją komórkę: „Maruśnia ty brokule spać przez ciebie nie mogę. Idź na dworzec kup bilet, ja zapłacę kartą, a jak otworzą sklepy, wyślę ci numer na doładowanie komórki.” Pierwszym metrem, bez biletu, pojechałem na dworzec autobusowy i czekam kiedy Agata znów się odezwie. Próbowałem jeszcze uprosić nieczuła obsługę dworca i przebić się na pierwszy autobus do Londynu, ale odjechał beze mnie. Następnym i tego dnia już ostatni był, za godzinę, a w telefonie dalej cisza.

Dopiero kilka minut przed odjazdem Agata przysłała mi numer vouchera do naładowania komórki. Nastąpiła między nami gorączkowa wymiana telefonów i w ostatniej chwili wsiadłem do niby komfortowego autobusu z nieczynnym kibelem wróciłem do Londynu. II. Napad na wille króla Afganistanu.

Kiedyś w Afganistanie było zupełnie inaczej. Wtedy mieli tam króla, jeszcze nie mówiło się o talibach, a w górach Bamian wciąż stały posągi Buddów. Ludzie byli biedni, ale mili i uśmiechali się często a żołnierze nie nosili przy sobie broni.. Kraj był piękny, górzysty i niemal nieskażony cywilizacją. Jedyna w kraju asfaltowa szosa od granicy z Iranem biegła na południe, omijając góry i dalej aż do Kabulu Tam dzieliła się: jedna na wschód do Pakistanu, druga na północ do granicy z ZSSR. Wszystkiego nieco ponad osiemset kilometrów. Nie można było się zgubić.

Leżący w starej dolinie rzeki Kabul dzieliła ogromna, stroma góra. Jej zbocza pokryte były tysiącami lepianek skleconych jedne nad drugimi. Nie było w nich prądu ani wody i Europejczycy nie odwiedzali tej części miasta, która wieczorami pogrążała się w ciemnościach.

Przez handlową część miasta przewijały się grupy młodych podróżnych z całego świata, w jadących do Indii, Australii, lub do Europy. W tanim hoteliku z coffie shopem żyło się za dwa dolary dziennie a haszyszem, napalić za darmo. Życie płynęło beztrudnie i leniwie bo od rana było gorąco. W dzień niewiele ciekawego się działo. Można było wyjść coś kupić, pójść na bazar, albo załatwić wizę i bilet na dalszą podróż. Jeśli ktoś chciał mógł pójść nawet na targ wielbłądów, najczęściej jednak siedziało się w zacienionej części podwórka hoteliku, wymieniając rady i uwagi.

Któregoś dnia postanowiliśmy pojechać na wycieczkę w góry. We czterech zapakowaliśmy się do starego czarnego garbusa i ruszyliśmy szosą w kierunku Pakistanu.

Droga prowadziła korytem rwącego strumienia, wśród głazów i niekończących się gór. Po godzinie minęliśmy niewielką tamę i domek, jak młyn wodny, od którego w kilku kierunkach odchodziły przewody elektryczne Skręciliśmy z asfaltowej szosy i dalej jechaliśmy traktem wzdłuż linii elektrycznej. Po kilku minutach stanęliśmy nad stromym uskokiem i jeziorem wypełniającym dno głębokiej doliny.

Na brzegu jeziora stała okazała willa otoczona wysokim murem. Od strony wody mur otaczał niewielką przystań z kilkoma nowoczesnymi łodziami. Widok był tak niespodziewany, że z zachwytu staliśmy jak wryci.

- Ciekawe kto tam mieszka?

- Dziwne, że wogóle nie widać tam ludzi.

Zwykle w Afganistanie, wystarczyło zatrzymać się w zdawałoby się wyludnionym terenie, aby po kilku minutach, nie wiadomo skąd pojawiali się miejscowi.

Siadali opodal w kucki, przyglądali się kilka minut, po czym starali się nawiązać rozmowę.

Standardowe pytania.- skąd jesteście, dokąd jedziecie, potem o rodzinę. Jeśli rozmowa kleiła się, miejscowi chętnie zapraszali do siebie na herbatę.

Tu jednak nic się nie działo. Słyszałoby się jedynie szum wiatru.

- Może zjedziemy na dół się wykapać. - zaproponował któryś z chłopaków.

- Może ktoś wyjdzie z tej willi i zaproszą nas do środka -. Ten pomysł spodobał się wszystkim.

Aby zjechać do jeziora musieliśmy cofnąć się do traktu i znow jechać wzdłuż linii elektrycznej. Po kilku minutach stanęliśmy się przed szlabanem i budką strażniczą.

Szlaban był otwarty, a wokół nie było nikogo. Nie namyślając się ruszyliśmy dalej i po chwili wyjechaliśmy nad brzeg jeziora. Mur wokół willi był wyższy i masywniejszy niż wydawał się z góry.

Postawiliśmy naszego garbusa na brzegu w przyzwoitej odległości od willi, tak aby nie niepokoić nikogo. Wysiedliśmy z samochodu i zaczęliśmy brodzić w jeziorze, obserwując wille dość niepewnie, czekając czy pojawi się ktoś zaciekawiony.

Nagle brama otworzyła się i wybiegł przed nią oddział żołnierzy. Wymachując pasami i kijami biegli w naszą stronę krzycząc złowrogo. Wskoczyliśmy z powrotem do samochodu i omijając szerokim łukiem goniących nas żołnierzy wróciliśmy na drogę. Po chwili byliśmy znów przed szlabanem, który tym razem był zamknięty. Obok stało trzech żołnierzy.

Zatrzymaliśmy się zastanawiając się co dalej. Staraliśmy się wpłynąć na żołnierzy, aby nas przepuścili. Oni jednak okazali się nieubłagani. Pokazywali rekami, że mamy wrócić do willi. Ponoć czekali tam na nas z herbatą. Ale my mieliśmy wciąż przed oczami widok pędzącej w naszą stronę złowrogiej grupy.

- Tu mamy chyba więcej szans aby się przebić – zawyrokował najbardziej krewki z nas Mirek.

Znający kilka afgańskich słów Bogdan starał się wpłynąć na jednego z żołnierzy aby odłożył kamień, który trzymał w dłoni. Jednak jego starania nie przyniosły rezultatu. Obaj zaczęli go sobie wrywać, a ja dostałem drewnianą pałką w głowę. Zamieszanie przerodziło się w bijatykę a w powietrzu zaczęły latać kamienie.

Mirek podbiegł do samochodu, skąd wyciągnął mały czarny straszak z niklowaną lufą i strzelił w powietrze. Na chwile zapadła cisza, a afgańscy żołnierze błyskawicznie pochowali się za skały.

- Otwórzcie szlaban i zwiewamy! komenderował Mirek wymachując straszakiem.

Wskoczyłem za kierownicę i wyjechałem za otwarty już szlaban. Reszta chłopaków wsiadała w biegu i po chwili pędziliśmy w kierunku asfaltowej szosy.

- O rany! Niezła historia!? Wymienialiśmy uwagi na gorąco.

- Chyba nikt nie uwierzy, że coś takiego nam się zdarzyło.

- Całe szczęście, że oni nie mieli broni.

Po kilkunastu minutach jazdy dojechaliśmy do posterunku drogowego. Takie posterunki rozmieszczone były na szosie co kilkadziesiąt kilometrów. Zwykle pytali tylko dokąd się jedzie i rzadko sprawdzali dokumenty. Tym razem było inaczej.

Szosem przegradzała pospiesznie zbudowana barykada z kamieni. Każdy samochód musiał zjechać na pobocze, zanim wolno mu było jechać dalej. Na widok naszego garbusa żołnierze wyraźnie się ożywili i komentowali głośno wskazując na duże białe napisy na masce naszego samochodu. Były to nazwy stolic przez które w drodze z Berlina do Kabulu przejechał nasz garbus.

Zupełnie zapomnieliśmy o tych posterunkach. Pierwszą myślą było zawrócić i uciekać, ale nie było dokąd. To była przecież jedyna w kraju asfaltowa szosa.

Posłusznie zjechaliśmy na pobocze. Kontrolujący nas żołnierz nakazał zgasić silnik i czekać. Nie było wątpliwości, że zostaliśmy rozpoznani. Zastanawialiśmy się, co stanie się dalej. Mirek poszedł dowiedzieć się na co czekamy. Patrzyliśmy jak rozmawia z żołnierzami. Po chwili wrócił niepokojony.

- Oni nic nie wiedzą. Musimy czekać na oficera.

Staliśmy oparci o nadwozie garbusa, kiedy Jeepem nadjechał młody, elegancko wygalający oficer. Podszedł do naszego samochodu i bezceremonialnie zaczął przeglądać co mamy w środku.

- Czego szukasz? Zapytał Mirek.

- Pistoletu. Odpowiedział oficer – dostaliśmy meldunek z komisariatu, że była strzelanina koło letniej rezydencji króla i ktoś ranił strażnika w głowę.

Letnia rezydencja króla… Rzeczywiście mogliśmy się domyśleć że nie był to zwykły dom bogatych. Budka strażnicza, szlaban, wysoki mur okazała willa i przystań z nowoczesnymi łodziami… To nie był codzienny widok w Afganistanie.

W tej sytuacji nie było dłużej sensu niczego udawać. Mirek sięgnął do wnętrza samochodu, wyciągnął straszak, i podał go oficerowi.

- To tylko straszak. Strzelaliśmy dla postrachu, bo zaatakowali nas żołnierze. My też mamy rannego próbował ratować sytuację Mirek wskazując ślady krwi na mojej głowie.

Oficer obejrzał straszak, pomyślał chwilę i zawyrokował, że musimy pojechać na posterunek aby spisać zeznanie.

Uspokoił nas, że to nie potrwa długo. Po drodze powiedział ponoć Mirkowi, że król zamierzał przyjechać dziś nad jezioro, ale zmienił plany z powodu strzałów oddanych w okolicy jego posiadłości.

Kiedy dojechaliśmy na posterunek oficer zarządził zbiórkę całego plutonu, poczym długo tłumaczył żołnierzom, że z tej broni nie można wystrzelić kuli, bo nie ma nawet dziury w lufie.

Tym niemniej żołnierze rozeszli się nie przekonani. Oficer wyznaczył sierżanta do spisania zeznania. Powiedział, że to nie potrwa dłużej niż pół godziny i ulotnił się niepostrzeżenie.

Po godzinie zeznanie było gotowe, ale w niezrozumiałym dla nas języku. Sierżant nakazał podpisać je

odciskami kciuka. Zrobiliśmy to dopisując po angielsku, że nie rozumiemy podpisywanego tekstu. Sierżant zadowolony, że zrobił już swoje, poszedł do biura schować zeznanie. Kilku żołnierzy zaprowadziło nas do drewnianej pokrywy na środku podwórka. Jeden z nich podniósł ją, a naszym oczom ukazała się głęboko wykopana ziemianka. Żołnierze wykonali ruchy nakazujące nam wejście do ziemianki. - Co?! My do ziemianki? Nie ma mowy! Przecież oficer powiedział, że po spisaniu zeznania będziemy mogli wracać do Kabulu.

- Tak, tak, pojedziecie, ale dopiero jutro, bo dziś jest już za późno - skwitował sierżant, mimo że dopiero zbliżał się wieczór i jakby nie rozumiejąc co złego z ziemianką próbował ponaglić nas do wejścia pod ziemię.

- Nie ma mowy, żebyśmy spali w ziemiance. Jesteśmy Europejczykami. Jeśli mamy spać to tylko w hotelu! Próbowaliśmy się bronić.

Zażądałem, aby skontaktowano nas z Ministerstwem Obrony Afganistanu gdzie czasowo zatrudniony był mój ojciec, projektujący instalacje elektryczne na zlecenie wojska, w ramach kontraktu z Polservicem. Nasz blef najwyraźniej zrobił pewne wrażenie. Sierżant zamyślił się chwilę, nie wiedząc jak zareagować. W końcu oddelegował gdzieś dwóch żołnierzy. Wrócili rozpromienieni, mówiąc że znaleźli dla nas miejsca w hotelu.

Był to lekko podniszczony, ale wciąż okazały, imperialny budynek, z pewnością pamiętający czasy dawnej świetności. Pozostała jeszcze kwestia płatności. Afganie utrzymywali, że skoro chcemy spać w hotelu, sami musimy za to zapłacić. My twierdziliśmy, że mamy już wynajęty hotel w Kabulu. Dlaczego więc mamy płacić podwójnie. Dyskusja na ten temat stawała się coraz bardziej gorąca. Kątem oka zobaczyłem, że Mirek siłował się z większym od niego żołnierzem. Jego koszula była już w strzępach, kiedy udało mu się wyswobodzić. Puścił się biegiem w głąb hotelu, a my za nim. Wskoczyliśmy do jakiegoś pokoju i zaryglowaliśmy drzwi. Łóżkami i szafą zabarykadowaliśmy okna, aby odgradzić się od spodziewanego odwetu. Żołnierze natomiast zasadzili się w pobliskich krzakach i pilnowali żebyśmy im nie uciekli.

Po kilku godzinach „oblężenia” od strony krzaków zaczęły dobiegać podniecone głosy. Pojawił się samochód dla eskorty, która miała nam towarzyszyć w drodze na główny posterunek policji w Kabulu. Był to prywatny gazik, którego właściciel, jak nam później powiedział, jechał po lekarza dla chorej żony.

Około piątej nad ranem znaleźliśmy się w głównej kwaterze policji w Kabulu. Zaprowadzono nas do pokoju, w którym jedynym meblem było piętrowe łóżko bez materaca na górnym poziomie. Na dolnym spał gruby podoficer dyżurny. Obudzono go, ale tylko na chwilę. Spojrzał na nas niezadowolony, mruknął kilka słów nakazując nam czekać, obrócił się na materacu i zasnął. Rozłokowaliśmy się na podłodze i próbowaliśmy zasnąć. Wraz z nami eskortujący nas żołnierze i nieszczęsny kierowca gazika, który z całym zamieszanym nie miał nic wspólnego

Było już jasno, kiedy podoficer dyżurny wreszcie się obudził. Wstał, podciągnął spodnie przyjrzał się nam jeszcze raz, po czym kurtuazyjnie wskazał mi zwolnione przez niego miejsce na łóżku. Odmówiłem, a on wzruszył tylko ramionami i wyszedł z pokoju pewnie rozpocząć urzędowanie. Kilka minut po dziewiątej pozwolono mi zatelefonować do ojca, który był już w pracy.

Przyjechał z dwoma dziarsko uśmiechającymi się oficerami, którzy starali się zrobić wrażenie, że za chwilę wyciągną nas z kłopotów. Jednak ulotnili się szybko usłyszawszy, że strzelaliśmy do żołnierzy broniących dostępu do letniej willi króla.

Zbliżało się południe. Robiło się coraz goręcej więc pozwolono nam przenieść się na podwórko. Ojciec poszedł rozmawiać z komendantem, a my w ponurych nastrojach zastanawialiśmy się robić dalej. Chodziły nam po głowie różne pomysły ucieczki, szczególnie, że pilnujący nas policjanci zezwalali nam wyjść na zewnątrz „za potrzebą”;, bez eskorty, ale trzeba było dać słowo honoru, że się nie ucieknie.

Dokąd i jak było uciekać? Bez paszportów, środka transportu, pieniędzy. Tymczasem zwolniono kierowcę i eskortującego nas gazika, ale my siedzieliśmy dalej.

W końcu znów pojawił się mój ojciec trzymając w ręku cztery paszporty. Okazało się że załatwił zwolnienie nas wszystkich, za sumę 50\$ wpłaconych jako „odszkodowanie” dla rannego żołnierza.